

Mój pierwszy raz. Jacek Jasion: Było to zaraz po zgrupowaniu [FOTO]

Jeżeli przyjaźń zdarza się w życiu człowieka, ma wartość nieocenioną. Czy w życiu bohatera dzisiejszej rozmowy miała ona miejsce? Co takiego się wydarzyło, że zdecydował o swojej życiowej drodze, którą do dziś jest kickboxing? Na te tematy i kilka innych rozmawiam z Jackiem Jasionem, znanym, bardzo lubianym płocczaninie, w którego życiu pierwsze skrzypce gra sport.

Kiedy wiele lat temu ktoś, przepraszam, już dziś nie pamiętam kto, przedstawił mi Jacka Jasiona, powiedział – “wiesz to ten słynny sportowiec”. Ponieważ jestem sportowym analfabetą, spojrzałam na kickboxera trochę inaczej. Na Starym Rynku trwała jakaś impreza, stanęliśmy przy Domu Darmstadt, tak trochę na uboczu. I stało się coś zadziwiającego. W ciągu zaledwie kilkunastu minut do Jasiona podeszło około pięćdziesięciu osób, które chciały się z nim przywitać, zagadać. Jacek cierpliwie podawał rękę podchodzącym osobom, pytał o zdrowie, dzieci, rodzinę, szkołę. Każdego pamiętał – to nie byli dla niego anonimowi fani. Oczywiście z naszej rozmowy wyszły nici, ale tego dnia o Jasionie dowiedziałam się dużo więcej, patrząc, niż pewnie dowiedziałabym się z rozmowy.

Stres z przyjacielem u boku

Tradycyjnie cofamy się do czasów dzieciństwa. Jak znany sportowiec zapamiętał swój pierwszy dzień w szkole? – To było bardzo emocjonalnie przeżycie – odpowiada bez chwili zastanowienia. – Było to, jak u wielu dzieci starcie ze sporym stresem, aczkolwiek był to pozytywny czas i wejście w zupełnie nowy etap życia – przyznaje. Jak już wcześniej

wspomniałam Jacek ma mnóstwo znajomych, ale czy miał prawdziwego przyjaciela i czy ta przyjaźń przetrwała do dziś? Po tym pytaniu na twarzy bohatera rozmowy pojawił się smutny uśmiech. – Moim największym i najwierniejszym życiowym przyjacielem był mój świętej pamięci tata i mój starszy brat – mówi. Okazuje się, że były to osoby, w których Jacek zawsze miał oparcie. Na najbliższe osoby mógł liczyć bez względu na wszystko. Każdego dnia czuł ich wsparcie, dawali mu poczucie bezpieczeństwa i wpajali ważne w życiu wartości. – Ta przyjaźń była wyjątkowa. Nakręcała mnie. – Patrząc chociażby w kontekście sportu i mojej przyszłej kariery. Oczywiście przyjaźń z moim bratem – ba! – rewelacyjny kontakt został do dziś – uśmiecha się, nie ukrywając wzruszenia.

Decyzja przy pełnych trybunach

Właściwie na drugie imię Jacek powinien mieć... Sport. Potrafi mówić o nim godzinami. Dyscyplina, która pochłonęła go bez reszty to kickboxing. Kto był pierwszym idolem mojego rozmówcy w tej dziedzinie? – Od samego początku był to Marek Piotrowski, wybitny sportowiec, żywa legenda sportu i dyscypliny, którą uprawiam i zawsze mnie pasjonowała – przyznaje.

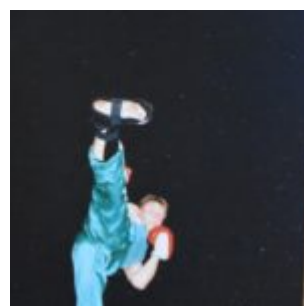
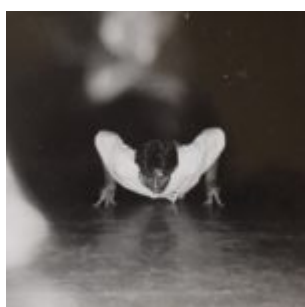
Przyszedł moment w życiu sportowca na sukcesy. Kiedy pierwszy raz otrzymywałeś pas mistrza co pomyślałeś? – Oj pamiętam to jak dziś – oczy mojego rozmówcy nabierają niebywałego blasku. – Było to zaraz po zgrupowaniu kadry. Z moim, już nieżyjącym, przyjacielem Józefem Warchołem wzięliśmy udział w zawodach amatorskiego kickboxingu w Piasecznie. Dokładna data to 18 października 1992 roku. Moja wygrana w narożniku. Sam Prezes Polskiego Związku Andrzej Pałacz i cała rodzina kibicująca mi na trybunach – z bardzo denerwującym się kochanym tatą na czele. Pomyślałem sobie, że to jest właśnie to... – opowiada. – W tamtej chwili wiedziałem, że będzie to moja życiowa droga – podkreśla.

Polityka przekuta na sport

Jacek Jasion jest także radnym zasiadającym w Radzie Miasta Płocka. Kiedy się dowiedziałeś, że zostałeś wybrany na radnego. Co w pierwszej kolejności chciałeś zmienić w Płocku? – Moja myśl przewodnia, która w dalszym ciągu jest ze mną to wsparcie płockiego sportu i rekreacji. Co za tym idzie, wsparcie dla młodzieży czy budowy obiektów sportowych, niezbędnych to rozwijania się młodych adeptów wszelkich dyscyplin sportowych – wymienia bez namysłu. Sportu też dotyczyło jego pierwsze wystąpienie przed miejskimi rajcami. Dotyczyło budowy hali sportowej nr. 16, która jak widać została wybudowana i służy płockiej młodzieży i nie tylko.

Nie mogę pominąć pytania o marzenie, niespełnione, pierwsze... – Moim największym marzeniem było zdobyć Mistrzostwo Europy oraz Świata w Kickboxingu. Ale zawsze marzyłem o tym, aby miało to miejsce w moim rodzinnym mieście... Jak widać marzenia się spełniają bo zarówno ME jak i MŚ osiągnąłem, a walka w rodzinnym mieście odbędzie się już wkrótce bo 29 września. Będę bronił mojego Mistrzowskiego pasa w płockiej Orlen Arenie, przed płocką publicznością – mówi zadowolony.

Jackowi Jasionowi życzymy oczywiście spełnienia tego marzenia i wielu, wielu innych. Będziemy także siedzieć na trybunach, aby dopingować mistrza.





Fot. Archiwum prywatne Jacka Jasiona.

Mój pierwszy raz. Michał Twardy: To był bardzo dziwny stan umysłu i ciała [FOTO]

Jak zarobił swoje pierwsze, "większe" pieniądze w życiu i na co je przeznaczył? Co zrobił, kiedy urodziło mu się pierwsze dziecko, a co kiedy dowiedział o trzeciej ciąży swojej, wspaniałej żony? O tych bardzo osobistych przeżyciach, i nie tylko, opowiedział nam dziś Michał Twardy, sekretarz Powiatu Płockiego.

Pana Michała poznałam bardzo dawno temu. Był wówczas dyrektorem delegatury urzędu marszałkowskiego w Płocku. Starałam się o stroje dla drużyny piłkarskiej, którą tworzyłam w Zągotach. Wspaniała młodzież, której bardzo chciałam pomóc. Jeździli na mecze drużyn niezrzeszonych, zdobywali puchary. Był jeden problem. Nie mieli strojów. Na boiskach kazano im zakładać kamizelki, których bardzo nie lubili. Trzeba było coś zrobić, aby się nie wstydzili, bo każdy grał w innej koszulce. Ponieważ marszałek Adam Struzik znany jest z tego, że lubi pomagać, dzielnie pojechałam

walczyć o “moją”, zagocką drużynę piłkarską do urzędu.

Na miejscu zastałam Michała Twardego. Po wejściu do gabinetu, nasza rozmowa trwała... 8 minut. Efekt? Za dwa dni drużyna piłkarska z naszej wsi, otrzymała koszulki z logo, jakie sobie wymyśliła młodzież. Radości było co nie miara. Duma rozpierała chłopaków na meczach, bo wszystkie drużyny im zazdrościły, że mają jednakowe stroje. Pan Michał ujął mnie uśmiechem, serdecznością, ciepłem i chęcią niesienia bezinteresownej pomocy. I tak sekretarzowi Powiatu zostało do dziś, co widać, po zaangażowaniu w wiele akcji charytatywnych w naszym mieście, a także na terenie powiatu.

Ależ się rozpisałam. A przecież nie po to się spotkałam z Michałem Twardym, aby mówić o mojej rodzinnej wsi, tylko o jego... “pierwszych razach”.

Zalewanie stropu z pewną dozą... nieśmiałości

Tradycyjnie zaczynamy od dzieciństwa. To bowiem czas, który w wieku dojrzałym wspominamy dość często z rozrzewnieniem. Jak pan Michał wspomina pierwszy dzień w szkolnej ławce? – To było tak dawno, że trudno mi odpowiedzieć na to pytanie – mówi po chwilowym zastanowieniu. – Wydaje mi się, że nie miałem z tym jednak większego problemu, gdyż do klasy szedłem razem z koleżankami i kolegami z zerówki – dodaje. Mój rozmówca przyznaje jednak, że trochę się stresował. – Byłem kiedyś osobą trochę nieśmiałą – uśmiecha się, wspominając szkolne czasy.

A jak obecny sekretarz Powiatu Płockiego zarobił swoje pierwsze pieniądze i na co je przeznaczył? Pan Michał roześmiał się głośno. – Pierwsze pieniądze zarobiłem u babci i dziadka za prace przy... trzepaniu dywanów i porządkach w piwnicy. I dokładnie nie pamiętam, ale wydałem je na przyjemności mojego podniebienia – tłumaczy. – Ale chcę powiedzieć jeszcze jedno. Taką bardziej poważną kasę zarobiłem, pracując w wakacje na budowie u znajomego. Byłem

tam na zasadzie przynieś i podaj, czyli taki pomocnik. Było ciężko bo miałem jakieś 16 lat, ale doświadczenie bardzo ciekawe – przyznaje. – Najgorszy był jednak dzień zalewania stropu – 11 godzin przy betoniarce. Jak wróciłem do domu, to nie miałem siły zjeść kolacji, a następnego dnia włączyłem się jak cień z psem po osiedlu – wspomina. – Sylwetka za to mi zmężniała. Wtedy kupiłem sobie buty sportowe i gramofon marki philips – dodaje z dumą w głosie.

Szczyście zmierzone miesiącami... czytania

Jak wiemy, pan Michał jest szczęśliwym tatą trójki dzieci. Co poczuł kiedy państwu Twardym urodziło się pierwsze dziecko? Bohater rozmowy chyba nie był przygotowany na to pytanie, wyraźnie się wzrusza. I widać, że myślami wraca do tamtej chwili. – To był bardzo dziwny stan umysłu i ciała, zdenerwowanie i szczęście jednocześnie. Zdenerwowanie żeby cały zabieg się udał bez krzywdy dla mamy i dziecka i szczęście po usłyszeniu pierwszego słabiutkiego płaczu, który za chwilę nabrał mocy. No i poleciała łza wzruszenia – opowiada swoim spokojnym głosem. – I tak za każdym razem – podkreśla. – Po udanych rozwiązaniach zawsze miałem obawę, że moje duże dłonie zrobią krzywdę tym maluszkom i bałem się – za każdym razem tak samo – brać noworodki na ręce. Później oczywiście mi to przechodziło i bardzo czynnie brałem i biorę udział w opiece i wychowaniu dzieci – mówi to, o czym mnóstwo osób z otoczenia pana Michała dokładnie wie. – Chociaż tak już to pewnie w genach jest, że jednak mama dla dzieci to mama – słychać w głosie nutkę zazdrości o tę cudowną miłość.

– Jak człowiek przystępuje do aktu poczęcia dziecka, nie zdaje sobie sprawy w 100 proc. ile może czyhać zagrożeń. Dopiero po pierwszych 3 wizytach u lekarza ginekologa zacząłem spokojniej funkcjonować – wyznaje. – Ile ja się naczytałem informacji o rozwoju płodu – od połączenia dwóch komórek do 4 miesiąca ciąży – to tylko ja wiem – uśmiecha się. Okazuje się, że nabyta wiedza przy pierwszym dziecku

pana Michała, przydała się przy kolejnych ciężach.

– Informacja, że po raz trzeci zostanie ojcem wbiła mnie w ziemię – wyznaje pan Michał. – Mając już dwójkę – można powiedzieć odchowanych – dzieci bo 9 i 5 latków, byłem z nietęgą miną. Przez weekend chodziłem rozbity – przyznaje się. – Unormowane życie jest łatwe, przyjemne i spokojne, a tu po kilku latach zmiana. Doszedłem jednak do siebie i już dalej było podobnie, jak przy dwójce starszych dzieci – żartuje w swoim stylu. – Wyczekiwanie na dobre wiadomości, łązy i nieprzespane noce, ale na szczęście wszystko odbyło się bez większych problemów – mówi, a oczy nabierają blasku szczęścia. – Kto nie ma dzieci, nie pozna prawdziwego życia, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy są takimi szczęściarzami jak ja. Czasami człowiek po całym dniu pracy nie ma humoru, ale te moje szkraby potrafią pocieszyć, choć i zdenerwować – nie ukrywa wzruszenia.

Głęboka woda... samorządu

No to odkryliśmy najczulsze miejsca w sercu Michała Twardego. Ale przecież nie samą rodziną człowiek żyje. Jest też praca. Pomimo młodego wieku mój rozmówca ma w swoim życiorysie ma wpisane bardzo odpowiedzialne funkcje. Jedną z nich było – wcześniej wspomniane – dyrektorowanie urzędowi marszałkowskiemu. Nie mogę pominąć tego stanowiska w naszej rozmowie, bowiem to od niego zaczęła się nasza znajomość. Jaka była pierwsza myśl Michała Twardego, kiedy usiadł w fotelu dyrektora? Po pytaniu zalega nagle cisza... Pan Michał bierze głęboki wdech, widać, że stara sobie przypomnieć sytuację. – Trudne pytanie – mówi po dłuższej chwili.

– Z jednej strony duma, że marszałek województwa mi zaufał, a z drugiej obawa żeby nie nawalić – zaczyna opowiadać. – Przecież przede mną dyrektorem był obecny poseł Piotr Zgorzelski i to ci dwaj panowie wprowadzili mnie do delegatury. Zostałem dobrze przyjęty przez koleżanki i kolegów w delegaturze. Ostro zostałem rzucony do pracy. Jak

to się mówi – na głęboka wodę. Oprócz administracyjnych obowiązków, do których byłem bardzo dobrze przygotowany, doszło reprezentowanie najważniejszego człowieka w województwie wobec wójtów, burmistrzów, prezydentów i starostów z terenu powiatu płockiego, gostynińskiego i sierpeckiego. A tu już nie powinno być wpadek – tłumaczy. – Przy okazji serdecznie pozdrawiam samorządowców i dziękuję, że przyjęli mnie ciepło do swojego grona.

Z mądrymi politykami... na koncert i dookoła świata

Oprócz kilku odpowiedzialnych funkcji, jakie pan pełnił i pełni, jest pan radnym Miasta Płocka. Czego dotyczyła pierwsza interpelacja, a czego najważniejsza przez lata zasiadania w radzie? – Pierwsza dotyczyła ułatwienia parkowania mieszkańcom osiedla Wyszogrodzka przy szkole podstawowej nr 12 – odpowiada bez zastanowienia, wręcz jednym tchem. – A te najważniejsze interpelacje – to wszystkie dotyczące budżetu miasta Płocka – dodaje.

– Dzięki naszej pracy to miasto się zmienia. Oczywiście prezydent ma wizje i my te wizje wspieramy. Jednocześnie staramy się walczyć dla mieszkańców o te zdecydowanie mniejsze zadania. Nie jest łatwo, bo każda koalicja jest tylko koalicją, ale w sumie uważam, że idzie to w dobrym kierunku – podkreśla Michał Twardy. – Taka indywidualna interpelacja, ta najważniejsza, dotyczyła wybudowania ulicy dojazdowej do posesji pomiędzy ulicami Lenartowicza i Zdziarskiego. Mieszkańcy czekali na ta uliczkę około 16 lat i dzięki mojemu i ich uporowi to stało się faktem – z czego jestem dumny i dziękuję im za wsparcie.

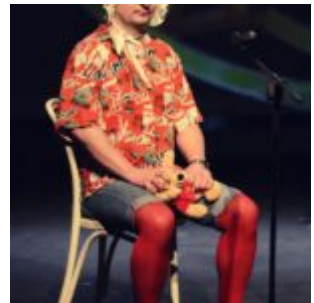
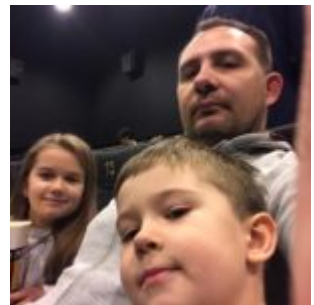
Wiadomo, że każdy z nas ma marzenia. Jedne się spełniają inne nie. Są jednak takie wśród nich, które byłyby pierwsze, tych których dotychczas nie udało się spełnić. Jakie marzenie ma Michał Twardy? Mój rozmówca uśmiecha się tajemniczo. – Moje marzenia od kilku lat związane są z najbliższą rodziną – mówi na wstępie. – Ale takie prywatne

marzenie to myślę, że chciałbym odbyć podróż dookoła świata. Taką długą, kilkumiesięczną, z dobrym przewodnikiem – głośno wypowiada te słowa.

– Muszę się przyznać, do jeszcze jednego marzenia, które było we mnie od zawsze, a już się spełniło – bardzo mnie zaciekawia wypowiedzią. – Zawsze chciałem grać na perkusji no i, jak strzeliła mi 40 lat na kark, zapytałem żonę czy mogę zaszaleć i spełnić swoje marzenie. Odpowiedziała bez zastanowienia, że tak. No i zamówiłem... perkusję! – śmieje się bohater dzisiejszej rozmowy. – Z uwagi na to, że polityka nie jest mi obca, chciałbym, aby trafiali do niej naprawdę mądrzy ludzie. I to jest chyba to marzenie, które będzie najtrudniejszym do spełnienia...

Z całego serca życzymy Michałowi Twardemu spełnienia wszystkich marzeń. To ostatnie będzie naprawdę bardzo trudne, ale przecież nie ma rzeczy niemożliwych. Bo jak kiedyś napisał Paulo Coelho – “Kiedy czegoś gorąco pragniesz, to cały wszechświat sprzyja potajemnie twojemu pragnieniu”.





Fot. Archiwum prywatne Michała Twardego i "Dziennika Płockiego".

Mój pierwszy raz. Jarosław Szałkowski: Przydałby mi się wtedy mikrofon [FOTO]

Po grze na jakim instrumencie wręcz „rozebrała” mu się ręka? Kiedy poszedł na swoje pierwsze wagar i co ważnego wówczas w życiu pana Jarka się wydarzyło? Jakie jest jego największe marzenie i czy uda mu się je spełnić? O tym wszystkim, i nie tylko, opowiada mi Jarosław Szałkowski.

Pana Jarka poznałam przy okazji koncertu, który zorganizował w swoim zajeździe w Słupnie. Chociaż spotkaliśmy się pierwszy raz, to nie przeszkadzało nam zupełnie, aby rozmawiać o wszystkim. Jak to się mówi – gadaliśmy jak starzy znajomi, którzy nie widzieli się zaledwie kilka dni. Koniecznie musicie wiedzieć, że pan Jarek ma w życiu wiele pasji. Oprócz gotowania, o którym potrafi mówić godzinami, jest też wytrawnym animatorem kultury – organizuje koncerty, które przyciągają tłumy do zajazdu – o jakże swojsko brzmiącej nazwie – Mazowsze. Pan Jarosław jest także muzykiem, lubi sport i ... Ale o tym za chwilę.

Umówiliśmy się na rozmowę w jego zajeździe, kawa szybko ląduje na stole. Pan Jarek jak zwykle uśmiechnięty, pełen optymizmu i spokoju. Czego bardzo mu zazdroszczę i staram się tym od niego zarazić. – Chętnie się podzielę – mówi z łagodnym uśmiechem. Rozmowa ma być o tym pierwszym razie, ale oczywiście mamy sto innych tematów do omówienia – muzyka, książki, gotowanie. Mój zestaw pytań zdaje się na nic. W końcu jednak zaczynamy – tradycyjnie, od dzieciństwa.

Rurki z kremem ale nie na wagarach

Mało wiem o moim rozmówcy, znam go przecież z dorosłego życia. – Jak mały Jarek spędził swoje pierwsze wagar? – staram się poznać dziecięcy świat mojego rozmówcy. – W

zasadzie w szkole podstawowej nie wagarowałem, miałem super klasę, w której tworzyliśmy fajną paczkę. Dowodem na to są nasze kontakty i przyjaźnie, które trwają do dziś – mówi z błyskiem oku. – Po szkole trenowałem kajakarstwo wyczynowe i musiałem się dobrze organizować, aby połączyć naukę i sport. Pierwsze wagary były dopiero po ukończeniu podstawówki i już byłem nie taki mały, bo miałem wtedy prawie 17 lat – śmieje się głośno. – Z kolegą z klasy mieliśmy „na oku” fajne dziewczyny, którym wypadało pokazać, jak wygląda najładniejsza część Płocka. Poznałem wtedy najpiękniejszą kobietę w moim życiu, z którą spędzam czas do dziś – wyznaje. – Jesteśmy małżeństwem z 26 – letnim stażem – dodaje.

Wszyscy w Słupnie i okolicy wiedzą, że pan Jarosław prowadzi z powodzeniem zajazd. Ale kiedyś musiał zacząć zarabiać. Jak zatem zarobił swoje pierwsze pieniądze i na co je przeznaczył? Mój rozmówca chwilę się zastanawia, cofa się pamięcią wstecz. – Pierwszy grosz zarobiłem na zabawie tanecznej, grając na akordeonie. To było niesamowite wyzywanie z uwagi na fakt, że nikt nie pomyślał wtedy, że przydałby się jakiś mikrofon dla mnie – wspomina. – Na siłę próbowałem udowodnić, że zagram głośniej niż koledzy na gitarach elektrycznych, którzy oczywiście się nie słyszeli i dawali ostro po heblach na czele z perkusistą – nie ukrywa śmiechu. – Moja lewa ręka po nocy, podczas której cały czas grałem, w pewnym momencie straciła czucie i odmówiła posłuszeństwa. I właśnie wtedy postanowiłem, że zmienię instrument na elektroniczne organy lub syntezator – na ten cel zbierałem grosz do grosza – przyznaje. – Chociaż najfajniejsze pieniądze zarobiłem – uśmiecha się tajemniczo, zawieszając głos. – To wesoła historia i myślę, że co niektórzy nie uwierzą – na rurkach z bitą śmietaną, które sam produkowałem i wstawiałem do sklepów – wspomina stare czasy.

Skoro już wiemy, jak bohater naszej rozmowy poznał swoją

żonę, czas zatem na dzieci. Co pan poczuł, kiedy urodziło się wam pierwsze dziecko? – To było niesamowite przeżycie – odpowiada natychmiast. – Byłem przy mojej żonie podczas narodzin naszej córki Natalii. Westchnąłem, uroniłem łezkę szczęścia i podziękowałem Bogu za dar życia dla naszego dziecka. Uradziła się zdrowa bez żadnych powikłań i jest teraz piękną kobietą – owoc naszej miłości – mówi z dumą w głosie. – To samo poczułem kiedy urodził nam się syn – Janek. Między dziećmi jest 10 lat różnicy, zatem sporo. Pamiętam, że przeżywałem wszystko tak jakby to był ten... pierwszy raz. A teraz mam te trzy moje szczęścia w domu – przyznaje z uśmiechem.

Marzenia zapisane w dekalogu

Jak wiemy w gminie Słupno szykują się przedterminowe wybory. I chociaż pan Jarek nigdy nie pomyślał, że będzie się zajmował polityką, to jednak jako lokalny patriota zdecydował się kandydować do Rady Gminy. Nie mogę pominąć tego tematu. Co sprawiało – taka pierwsza sytuacja, kiedy postanowił pan, że chce zostać radnym gminy? – Podczas jednego z koncertów w zajeździe Mazowsze nasza przyjaciółka powiedziała: „Jarek przecież ty powinieneś kandydować na radnego w swojej gminie”. Dodała – „mieszkańcy Słupna potrzebują stabilizacji, integracji i spokoju w gminie, połączonego z kreatywną promocją gminy”. Uznałem, że to są wartości, którymi właściwie kieruję się w życiu, z cierpliwością realizuję swoje pomysły w życiu codziennym – tłumaczy mi ze spokojem. – Myślę, że to jest dobry początek. Mam pomysły i chcę działać, a jeśli można przy tym pomóc mieszkańcom, to w ogóle nie musiałem się długo zastanawiać nad tą decyzją – dodaje.

Co według pana Jarosława jest na pierwszym planie do zrobienia na terenie gminy Słupno? – Woda – odpowiada bez chwili zastanowienia kandydat na radnego. – Woda i infrastruktura z nią związana, jest jedną z najistotniejszych spraw dla nas wszystkich – podkreśla. – To

dzięki wodzie mamy przecież życie, a dzięki nowej infrastrukturze będziemy wydawać więcej pozwoleń na budownictwo mieszkaniowe. W ten sposób gmina pozyska nowych mieszkańców. Gmina ma też świetną lokalizację i dzięki dobremu zarządzaniu, staniemy się jeszcze bardziej atrakcyjniejsi dla potencjalnych inwestorów. Jest taki swoisty dekalog, który zawiera dużo ważnych punktów, opierający się na zrównoważonym i stabilnym programie rozwoju gminy – stwierdza jednoznacznie. I widać, jak zamyśla się, patrzy w okno – daleko przed siebie. – Stało się coś? – pytam. – Nie, nie, pomyślałem tylko, że ten spokój i stabilizacja w działaniu jest tak bardzo ważna, dla nas – mieszkańców, którzy żyjemy tu na co dzień.

Radykalnie zmieniam temat, bo czas ucieka, druga kawa prawie dopita. I chociaż żał odjeżdżać ze Słupna, to jednak musi paść to sakramentalne, ostatnie pytanie. Marzenie, które cały czas jest w panu, a nigdy nie udało się go spełnić, a byłoby tym... pierwszym razem? – To rejs statkiem po morzach i oceanach z moją rodziną. Podróże, kuchnia, gotowanie – to moje pasje. Chciałbym odkrywać nowe miejsca, poznawać kulturę i smaki różnych narodów – oj popłynął mi pan Jarosław w rozmowie bardzo daleko. – Chcę jeszcze przygotować się do kulinarnego pucharu Polski kucharzy zawodowych i w nim wystartować – uśmiecha się, a oczy błyszczą jak dwa rozpalone węgle, na samą myśl o spełnieniu marzenia.

Czego Jarosławowi Szałkowskiemu życzymy z całego serca. A jak już się uda spełnić marzenie – to daleko wybiegające w przyszłość – to niech szybko wraca do Słupna, do swojej małej ojczyzny. Bo tu też jest potrzebny ze swoimi pomysłami i kreatywnością.



Fot. Archiwum prywatne Jarosława Szałkowskiego

Mój pierwszy raz. Marek Opióła: To był duży stres [FOTO]

Miał zaledwie 29 lat kiedy po raz pierwszy zasiadł w ławach sejmowych jako poseł. Pełni tę funkcję do...dziś. Chociaż kilka miesięcy temu, a dokładnie we wrześniu, skończył 40 lat. W wyborach w 2015 roku został wybrany po raz czwarty – tym samym stał się posłem Prawa i Sprawiedliwości VIII kadencji Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej.

Poza sejmowym życiem prowadzi zwykły tryb życia – chodzi na

zakupy, do kina, teatru, jeździ z żoną i dziećmi na wycieczki i spotyka się z przyjaciółmi. Znajduje na to wszystko czas, pomimo mnóstwa, a wręcz setek obowiązków. Na nudę nie narzeka. A swój czas ma wypełniony, powiedziałabym – po brzegi. Doba w życiu Marka Opióły powinna chyba mieć z 50 godzin. Umawiając się na wywiad z posełem, miałam wrażenie, że porywam się z motyką na słońce, bo nawet ciężko nam się było zdzwonić. Albo pan Marek brał udział w jakimś spotkaniu, albo był właśnie w samochodzie i jechał na jakieś spotkanie. Wpadliśmy już nawet na pomysł, że zrobimy wywiad przez...telefon. Ale ani poseł, ani ja nie byliśmy jakoś zadowoleni z tego rozwiązania. W końcu udało się – spotkaliśmy się kilka dni temu w jego płockim biurze. Na biurku natychmiast wylądował kubek dobrej, aromatycznej kawy. – Nawet dobrze, że porozmawiamy na spokojnie, chwilkę odpoczne – mówi poseł z ulgą w głosie.

Wagary z...domu

Pomimo tego, że od młodych lat zajmował się polityką i osiadł w niej bardzo mocno, to mam nadzieję, że nosi w sobie wspomnienia z dzieciństwa – bo przecież nie samą polityką człowiek żyje. Pytam zatem, jak mały Marek spędził swoje pierwsze wagary? – Nie powiem pewnie nic odkrywczego. Było to chyba w czwartej klasie szkoły podstawowej w pierwszy dzień wiosny. Wtedy były to burzliwe czasy lat osiemdziesiątych. Bunt był powszechny i odczuwalny – na ulicy i w szkołach też – stąd to, co zakazane pociągało – uśmiecha się, wracając do czasów szkolnych. – Dzień wagarowicza był obowiązkowy, młodsi brali przykład z klas starszych – wspomina.

– Opowiem coś innego, jakby inny rodzaj “wagarów” może być? Miałem kilka przygód, jak się samodzielnie zerwałem rodzicom – czyli zrobiłem sobie takie domowe wagary – śmieje się głośno. – Pewnego dnia moja mama zostawiła mnie samego w domu, śpiącego w łóżeczku. Sama poszła zrobić “szybkie” zakupy w sklepie, który mieścił się tuż przy naszym domu. Wiem, że teraz Czytelnicy powiedzą, jaką miałem nieodpowiedzialną mamę. Ale takie były czasy – śmieje się i wraca do opowieści. –

Obudziłem się, wstałem z łóżeczka, zabrałem czapkę ojca, otworzyłem drzwi i wyszedłem z domu.

Mieszkaliśmy na trzecim piętrze zatem miałem długą “podróż” przed sobą. Dotarłem na ulicę, ubrany w tę taty czapkę i...śpiochy, udałem się zwiedzać świat. Zostałem jednak zatrzymany na skrzyżowaniu przez jakąś panią, a z naprzeciwka szła moja mama – wróciły wesołe wspomnienia.

Emocje i...rowery

Członkiem swojej partii zostałem, mając 26 lat, więc polityka towarzyszyła mojemu rozmówcy praktycznie od zawsze. Jaka była pierwsza praca Marka Opióły, czy miała coś wspólnego z polityką? – Ależ skąd – odpowiada bez namysłu. – Pracowałem na obozach kajakowych jako wychowawca i instruktor – wspomina. – Przez jakiś czas pracowałem także w jednostce wojskowej jako cywil, człowiek na studiach ma ciekawe pomysły. W tej pracy nauczyłem się wiele w kwestiach biurokracji i procedur. Było to bardzo ciekawe doświadczenie – podkreśla. A na co poseł wydał swoje pierwsze zarobione pieniądze? – Na rower – pada natychmiastowa odpowiedź. – Do teraz lubię kupować rowery – śmieje się głośno, a ja razem z nim – bo wyobrażam sobie garaż pełen rowerów różnej maści, ustawionych rzędem. – Na co dzień staram się, jeździć rowerem do pracy – dodaje z uśmiechem.

Kiedy został posłem po raz pierwszy miał niespełna 30 lat. A wszyscy wiemy, że ta funkcja wiąże się z wystąpieniami przed najważniejszymi osobami w Państwie. Przemówienia dotyczą spraw ważnych. Muszą być przygotowane z wielką pieczołowitością. Przed kim wystąpił jako poseł pierwszy raz i czego dotyczyło przemówienie? – Pierwsze wystąpienie w Sejmie to duży stres – podkreślił na początku odpowiedzi. – Miałem przyjemność podwoić stawkę, ponieważ wystąpiłem przed Zgromadzeniem Narodowym 23 grudnia 2005 roku. Było to zaprzysiężenie śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Byłem sekretarzem Zgromadzenia Narodowego i odczytałem protokół. Emocje “grały” – wspomina. Teraz to już piękna historia – dodaje, na chwilę się

zamyślając.

Ewakuacja...w drugą stronę

Od samego początku tzw. życia parlamentarnego Marek Opioła był związany z Komisją Obrony Narodowej oraz Komisją ds. Służby Specjalnych. Pracował nad projektami ustaw, które dotyczyły Służb Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służb Wywiadu Wojskowego. Uczestniczył w wielu misjach zagranicznych, podczas których bywa niebezpiecznie – stąd moje kolejne pytanie. – Czy miał pan taką pierwszą przygodę, która nie jednemu zmroziłaby krew w żyłach?

– Pociągają mnie niebezpieczne miejsca – przyznaje. – Może opowiem tylko jedną z takich historii, bo jeszcze rodzina mi zabroni wyjazdów, jak przeczyta ten wywiad – uśmiecha się. – Podczas jednej z wizyt w Iraku lądowaliśmy w Bagdadzie na lotnisku. Tuż po wylądowaniu rozpoczął się atak rakietowy. Musieliśmy szybko ewakuować się z miejsca ataku samochodami. Wsiadam do samochodu z jednym z moich kolegów z ulicy Wiejskiej. Dowódca samochodu krzyczy do kierowcy nie parlamentarne słowo „sp...my! Już mamy ruszać. A nagle kolega obok mnie otwiera drzwi samochodu i w pośpiechu szykuje się do ucieczki – śmieje się poseł. – Oczywiście szybko został wyprowadzony z błędu – mówi, głośno się śmiejąc. Krótko mówiąc, uciekał nie w tę stronę – wprost pod spadające rakiety.

Płock z...kajakiem w tle

Radykalnie zmieniamy temat, bo ten jest dość niebezpieczny – dosłownie. I chociaż ciekawa jestem podobnych historii z życia posła, to jednak umawiamy się na kolejny wywiad, który poświęcimy tylko misjom zagranicznym. Ponieważ Marek Opioła od początku wygrywał wybory w okręgu płocko-ciechanowskim, nie może zabraknąć pytania o Płock – nasze miasto. W tym przypadku proszę posła o dokończenie zdania. Kiedy przyjechałem po raz pierwszy do Płocka jako poseł, pomyślałem...Jednak bohater

rozmowy nie kończy zdania, a zaczyna opowiadać. – Płock znałem przed objęciem mandatu posła. Czuje się z nim bardzo związany, także rodzinnie – moja prababcia, jeszcze przed wojną często bywała w Płocku. Tak więc z miastem kojarzy mi się wiele opowieści rodzinnych sprzed lat – zaskakuje mnie i podje kolejny temat na wywiad.

I chociaż kawa smakuje wybornie, rozmawia się super to i pan Marek, i ja spoglądamy ukradkiem na zegarki. – Muszę wracać do Warszawy, mam posiedzenie komisji – informuje mnie. No ale jeszcze chwilka, bo musi paść to spektakularne pytanie, które zadaję wszystkim moim rozmówcom w naszym cyklu. Oczywiście chodzi o marzenie. O czym marzy Marek Opioła? Marzenie, które chciałby, aby się spełniło i byłoby tym “pierwszym razem”? – To był plan w zeszłym roku, ale się nie udało – przepłynąć z synem kajakiem Wisłę z Płocka nad morze. Kajak już czeka! – podkreśla i kończy zdanie, uśmiechając się do swojego marzenia, które pozostaje w sferze wyobraźni.

Życzymy Markowi Opiole spełnienia tego marzenia i wielu, wielu innych, które przyniosą mu satysfakcję w życiu zawodowym, parlamentarnym oraz tym najważniejszym – prywatnym.



Marek
Opioła
jako
Zorro



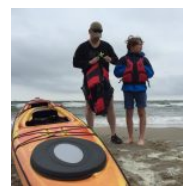
Z
rodzin
ą



Z
dziećm
i w
domu



Podcza
s
wypocz
ynku



Hobby
i
wypocz
ynek z
synem



Jedna
z
misji
zagran
icznych

Mój pierwszy raz. Tomasz Kominek: Rodzice byli przeciwni

Po wakacyjnej przerwie wracamy z naszym cyklem. Mam nadzieję, że trochę się stęskniście za znanymi osobami z płockiego życia kulturalnego, politycznego czy sportowego. Nasz cykl cieszył się ogromnym zainteresowaniem wśród Czytelników, mamy nadzieję, że wakacyjna łaba tego nie zmieniła.

Dziś o swoich pierwszych, niezapomnianych przeżyciach opowiada nam Tomasz Kominek, radny naszego miasta, a także szef delegatury urzędu marszałkowskiego oddział w Płocku. Bohatera dzisiejszej rozmowy zapamiętałam z jego poruszającego wystąpienia podczas którejś z sesji rady miasta. Mówił o Radziwiu – to jego okręg wyborczy. – Jest jakby zapomniane przez wszystkich, zaniedbywane – tłumaczył z mównicy.

Pomyślałam wtedy, że w mojej miejscowości też powinien być taki radny, który murem staje za mieszkańcami. Niestety nie mamy takiego szczęścia jak Radziwie...Nasz radny to taki trochę bezradny, bo szczerze powiedziawszy, od wyborów w 2014 roku go nie widziałam i jakby słuch po nim zaginął. W mojej wiosce nie dzieje się nic, natomiast Radziwie ma radnego, który co chwila składa interpelacje, pisze pisma i walczy o to, aby mieszkańcom w jego dzielnicy żyło się znacznie lepiej. I ten codzienny trud przynosi efekty.

Dzienniczek z czystą kartą

No i pewnie długo jeszcze dzięki Tomaszowi Kominkowi, mogłabym pisać o płockiej dzielnicy ale przecież w innym celu się z nim spotkałam. Tradycyjnie, jak na "Mój pierwszy raz" przystało,

pytam mojego rozmówcę o czasy dzieciństwa. Tomasz to młody człowiek i na pewno pamięta swoją pierwszą uwagę w uczniowskim dzienniczku. Chwilę się zastanawia. – Hmm... Z tego co sobie przypominam byłem raczej grzecznym uczniem i nigdy nie dostałem uwagi do dzienniczka – wyznaje, budząc moje zdziwienie. – Nie chodziłem na wagary i zawsze miałem wzorowe zachowanie. Warto byłoby zapytać mojej ówczesnej wychowawczynie, gdyż niektórzy mogą mi nie uwierzyć – uśmiecha się. – Tak jednak było, aż do końca liceum, a chodziłem do III Liceum Ogólnokształcącego, które do tej pory miło wspomina.

No skoro płocki radny był taki greczny i poukładany to może ma jednak coś na swoim dziecięco – młodzieńczym sumieniu, może zrobił coś wbrew woli rodziców? Po moim pytaniu Tomasz Kominek śmieje się głośno. – Może nie do końca wbrew woli rodziców – zaczyna tłumaczyć. – Bardzo długo, jako dziesięcioletni chłopak, negocjowałem z nimi zakup motorynki za pieniądze zgromadzone na drugą komunię świętą. Rodzice byli przeciwni, jednak tak długo przekonywałem ich, że dam sobie radę i będę jeździł ostrożnie, że tata się zgodził. Dokonaliśmy więc zakupu razem, wbrew woli mamy. Do dziś pamiętam minę mamy, kiedy podjechałem pod dom motorynką. Dostało się nam wtedy i tacie, i mnie. A moja przygoda z jednoślądami trwała dobrych kilka lat. Przestałem jeździć jednoślądem, kiedy urodziła mi się córeczka – wspomina.

Polonez na start

Także sumienie w sumie czyste jak łąza – greczny uczeń i jeszcze grzeczniejszy syn. Ech...No to szukam w pytaniach dalej. A może swoje pierwsze zarobione pieniądze wydał na coś szalonego? – Mogę powiedzieć, że pierwsze zarobione pieniądze wydałem za zakup auta – mówi bez zastanowienia. – Pamiętam, kupiłem sobie pięknego zielonego Poloneza. Oczywiście tuż po zakupie wybrałem się z kolegami na zakupy. Pojechaliśmy do Łodzi. Była to droga pełna niespodzianek, wróciliśmy jak przystało na zanego Poloneza na... holu – śmiejemy się głośno. No to pytaniem trafiłam w sedno – w końcu coś

nieodpowiedzialnego zrobił Tomek – no bo kto wybiera się Polonezem w tak “długą” podróż...

W naszej rozmowie nie może zabraknąć pytań, dotyczących pełnionych funkcji. Jaka była pierwsza reakcja Tomasza Kominka na wiadomość, że został wybrany do zacnego grona miejskich radnych? – Radość oczywiście i pewnego rodzaju stres wynikający z dużej odpowiedzialności. Chciałbym jednak dodać, że bardzo ciężko na to pracowałem – tłumaczy z powagą w głosie. – Był to mój 3 start, za pierwszym razem zdobyłem niewiele ponad 50 głosów. Drugim razem blisko 400 – niestety nie udało się ze względu na słaby wynik całej listy. Po blisko 10 latach pracy społecznej między innymi w radzie osiedla gdzie do tej pory pracuję, zdobyłem najlepszy wynik z wszystkich w całym okręgu nr 3. Mam nadzieję jednak, że moje zaangażowanie oraz chęci do pracy z ludźmi i dla ludzi pozwoli mi przez wiele lat funkcjonować w radzie miasta. Mam oczywiście swoje marzenia, które odnoszą się do życia samorządowego, ale szczegółów nie będę – póki co – zdradzał... – wyznaje z uśmiechem, tajemniczo szepcząc.

Gabinet z duszą

A czy pamięta radny czego konkretnie dotyczyło jego pierwsze wystąpienie przed płockimi rajcami? – W zasadzie kilkanaście pierwszych wystąpień i interpelacji dotyczyło potrzeb inwestycyjnych na osiedlu Radziwie. Przez wiele lat lewobrzeżna część Płocka była zaniedbywana przez władzę miasta – cieszę się, że teraz się to zmieniło, i że mam w tym również swój udział. To wielka satysfakcja, kiedy na osiedlu, które znam jak własną kieszeń powstają inwestycje, na które wszyscy czekali – podkreśla.

Stanowisko dyrektora delegatury urzędu marszałkowskiego Tomasz Kominek objął stosunkowo nie dawno. Czy pierwsza decyzja jaką podjął w związku z tą funkcją zapadła w pamięć mojemu rozmówcy? – Na obecnym stanowisku podejmuje bardzo wiele odpowiedzialnych i ważnych decyzji. Wszystkie one dotyczą

naszego samorządu, procesów inwestycyjnych w subregionie płockim. Staram się zawsze, aby nawet te najmniejsze decyzje podejmować w sposób bardzo przemyślany i tak aby nikomu nie zaszkodziły, a wielu pomogły – stwierdza ze spokojem w głosie.

Miło się siedzi, wspaniale smakuje kawa u Tomasza Kominka w gabinecie, ale czas kończyć naszą rozmowę, czas na powrót do swoich zajęć, których dyrektorowi nie brakuje. Ale na koniec. Czy mój rozmówca ma marzenie, które byłoby pierwsze i realne do spełnienia? – Marzeń mam bardzo dużo. Jestem człowiekiem z duszą romantyka – wyznaje bez zastanowienia. – Najważniejszym dla mnie obszarem, pewnie jak dla każdego, jest rodzina. A największym moim marzeniem jest to, żeby moje dzieci były zawsze szczęśliwe i na każdym etapie swojego życia dobrze mówili o rodzicach... – takie niby prozaiczne marzenie ma Tomasz Kominek, a jak bardzo ważne w dzisiejszym świecie...

Spełnienia marzeń tych samorządowych i tych rodzinnych mojemu rozmówcy życzę z całego serca.

Fot. Archiwum prywatne Tomasz Kominka.

Mój pierwszy raz. Roman Siemiątkowski: Udało się to dopiero w 1980 roku [FOTO]

Za co wiceprezydentowi naszego miasta “wlepiono” pierwszy w jego życiu mandat? Co na pierwszej szkolnej wycieczce zrobiło na bohaterze dzisiejszej rozmowy największe wrażenie? Jakie marzenie ma Roman Siemiątkowski, takie którego jeszcze nie

przeżył, a byłby to jego...pierwszy raz.

Wiceprezydenta naszego miasta spotykam nader często, z racji wykonywanych obowiązków służbowych – tak pana Romana jak i moich. Zawsze mocno skupiony, nie dający się zaskoczyć nawet najtrudniejszym pytaniem. Do każdej z konferencji prasowych, w których bierze udział, jest przygotowany na 6 z plusem. Często też w imieniu prezydenta Andrzeja Nowakowskiego staje na scenie, oficjalnie otwiera ważne dla miasta wydarzenia. Wiceprezydent wyjątkowo sprawdza się na scenie – jest konkretny i nigdy, ale to nigdy się nie rozgaduje. Mówi krótko, zwięźle i na temat. Za co zbiera burzę braw. I to co należy podkreślić, zawsze ma uśmiech na twarzy. Czasami zatroskany, a jednak uśmiecha się i znajduje kilka chwil aby się przywitać i podać rękę...

Bez kaligrafii po...Wiśle

Ale przecież wiceprezydentem miasta nie zostaje się od dziecka. Czy pan Roman pamięta swoją pierwszą uwagę w uczniowskim dzienniczku? – „Pisz staranniej!” – odpowiada bez zastanowienia. – Niestety z kaligrafią zawsze byłem na bakier i tak, Niestety, zostało do dziś – śmieje się mój rozmówca. – Pani od polskiego próbowała nauczyć mnie ładnego pisania, ale ani uwagi, ani tłumaczenia nie przyniosły pożądanego skutku. Zawsze pisałem szybko i może przez to, niestaranie. Uważałem, że szkoda czasu na cyzelowanie okrągłutkich literek. Dla mnie ważniejsze było, aby w tym, co piszę, był sens, no i żeby nie było błędów – podkreśla.

Kiedyś za szkolnych czasów, wycieczki były na tzw. porządku dziennym. Jak wiceprezydent pamięta swoją pierwszą wycieczkę szkolną? Pan Roman zamyśla się, a oczy nabierają blasku. – To była moja pierwsza tak długa wyprawa. Ze Skępego, skąd pochodzę, wybraliśmy się z klasą do Włocławka. A stamtąd statkiem do Płocka. Rejs po Wiśle, i to jeszcze na tak długim dystansie, był naprawdę wielką frajdą. Z zaciekawieniem obserwowałem przesuające się krajobrazy, falowanie wody.

Wycieczka trwała cały dzień. W programie było zwiedzanie Włocławka i Płocka. Największą atrakcją była dla mnie właśnie przejażdżka statkiem – wspomina z nutką tęsknoty w głosie, uśmiecha się.

“Pirat” drogowy z... doświadczeniem

Nie pozwalałam mojemu rozmówcy rozmarzyć się na dobre, “sprowadzam” pana Romana szybko na ziemię, pytając o pierwszy w życiu mandat. – Staram się jeździć zgodnie z przepisami, więc nie daję powodów do karania mnie mandatem. Ale... niestety, zdarzyło mi się „podpaść”, nie tak znowu dawno temu, już jak byłem wiceprezydentem – opowiada o swojej przygodzie. – Jechałem ul. Słoneczną z prędkością 55 km na godzinę, co zarejestrował fotoradar Straży Miejskiej. Za przekroczenie prędkości uiściłem mandat w wysokości 50 zł. Nie dyskutowałem, nie pomniejszałem swojej winy. Pewnie, że przekroczenie o 5 km na godzinę to w odczuciu kierowców niewiele, ale nie ma dwóch zdań, że to jest złamanie obowiązującego prawa – tłumaczy pan Roman.

Skoro doszliśmy w naszej rozmowie do obecnie pełnionej funkcji. Jaka była pierwsza myśl Romana Siemiątkowskiego, kiedy został powołany na fotel wiceprezydenta? – Pomyślałem, że...czekają mnie niełatwe zadania, ale na pewno sobie poradzę. Inaczej nie podjąłbym się pełnienia tej funkcji – mówi z uśmiechem. – Znam moje atuty, mam bogate doświadczenie zawodowe i to jest najlepszy kapitał, który przydaje mi się w codziennej pracy na tak odpowiedzialnym stanowisku. Niezwykle ważne jest też to, że mogę liczyć na profesjonalizm, kreatywność i zaangażowanie współpracowników, którzy pomagają mi w skutecznym działaniu dla dobra naszego miasta – dodaje.

Z bagażem decyzji do...Meksyku

Wiadomym jest, że funkcja jaką pełni mój rozmówca jest bardzo odpowiedzialna, każdego dnia trzeba podejmować decyzje – raz łatwiejsze, raz trudniejsze. Która z decyzji jaką podjął

wiceprezydent miasta była pierwszą bardzo trudną? – W tej chwili niełatwo mi sobie przypomnieć konkretne decyzje sprzed sześciu lat – zastanawia się chwilę. – Jednym z obszarów, którymi się zajmuję, jest organizacja systemu edukacji w mieście – zaznacza. – Dzięki zrealizowaniu przez obecne władze miasta wielu inwestycji w poprawę bazy oświatowej, a także wdrożeniu różnych przedsięwzięć, jak np. zatrudnienie asystentów w klasach pierwszych, w których uczyły się sześciolatki, zwiększenie puli pieniędzy na stypendia dla uczniów, przyznanie podwyżek dodatku motywacyjnego dla nauczycieli, podwyżek wynagrodzeń dla pracowników administracji i obsługi, wprowadzenie dzienników elektronicznych i innych działaniach, płockie szkoły coraz lepiej zaspokajają edukacyjne potrzeby i oczekiwania uczniów, a także rodziców i pracowników oświaty – opowiada.

– Niestety, zmiany ustawowe wprowadzone przez obecny rząd, jak np. „cofnięcie” sześciolatków do przedszkoli, wprowadziły wiele perturbacji dla samorządów. Staraliśmy się zrobić wszystko, by ta niekorzystna zmiana nie odbiła się na dzieciach, ich rodzicach i całym środowisku szkolnym. Udało nam się naprawdę dużym wysiłkiem zapewnić miejsca w przedszkolach dla dzieci i pracę dla większości nauczycieli. Ale niestety, słyszymy, że to nie koniec zmian w oświacie, które szykują rządzący... – wiceprezydent zawiesza głos i ucina swoją odpowiedź.

I na koniec, jakie marzenie ma pan Roman, takie które byłoby spełnieniem tego pierwszego razu... – Kiedyś takim marzeniem, które długo pozostawało niezrealizowane, był wyjazd na Zachód. Udało się to dopiero w 1980 roku, ponieważ wcześniej nie dostawałem paszportu. To była podróż do Wiednia, a następnie do Belgii i Paryża. Teraz mam za sobą wiele podróży do różnych zakątków świata, ale są miejsca, które nadal pozostają przez mnie nie odkryte. Jednym z nich jest Meksyk, z ruinami starożytnych miast Majów i Azteków – opowiada mi o swoim marzeniu z uśmiechem na twarzy. I mówi to tak przekonująco, iż

wierzę że się spełni nie tylko to marzenie ale także wiele innych. Czego życzę panu Romanowi z całego serca.



Fot. Archiwum prywatne Romana Siemiątkowskiego oraz Lena Rowicka.

Mój pierwszy raz. Michał Sosnowski: Rodzice do godziny 15 byli w pracy

Kto był jego pierwszą miłością – koleżanka ze szkolnej ławki z niesfornymi kucykami, a może była to miłość od...pierwszego

spojrzenia kiedy był już dojrzałym młodzieńcem? Jakie ma marzenie, oprócz tego aby Wisła Płock zdobyła Mistrzostwo Polski? O miłości, sporcie, o byciu radnym i nie tylko, o tym opowiada dziś Michał Sosnowski, były prezes Stowarzyszenia Sympatyków Klubu Wisły Płock.

Michał zwrócił moją uwagę w bardzo ciekawej sytuacji. Była to promocja książki autorstwa Jana Ryszarda Kalinowskiego zatytułowanej "Sztuka uliczna w przestrzeni publicznej Płocka". Obszerny wolumin zawiera treści o muralach i graffiti. Promocja odbywała się w kafejce na Stadionie im. Kazimierza Górskiego. Było sporo osób. Kiedy autor powiedział, że niestety wydał tylko 200 sztuk książki, ponieważ nie stać go było na więcej. Siedzący z tyłu młody człowiek, wyraźnie się obruszył, a potem podszedł do Jana Kalinowskiego i kupił kilka książek, płacąc więcej niż wynosiła ich wartość.

To był właśnie Michał Sosnowski. Wtedy też nastąpił ogromny przełom w moim życiu – inaczej spojrzałam na kibiców. Bo, jak kiedyś pisałam już na łamach Dziennika Płockiego, nie przepadałam za nimi. To właśnie Michał sprawił, że zaczęłam inaczej myśleć i zmieniać zdanie na temat kibiców. Potem bohater mojej dzisiejszej rozmowy został płockim radnym, a jego wystąpienia przed gremium Rady Miasta Płocka, czasami są bardzo zaskakujące. W powadze funkcji, którą sprawuje, umie zażartować, uśmiechnąć się i mieć do siebie dystans, stojąc przy mównicy w auli płockiego ratusza. A uwierzcie, niewielu to potrafi...

Miłość wypisana czcionką

Wiadomo, że każdy był dzieckiem, a Michał zupełnie nie tak dawno więc żadnego kłopotu nie sprawia mu odpowiedź na pytanie, jak spędził swoje pierwsze wagary? – Pierwsze jakoś szczególnie spektakularne nie były. Chodziłem do gimnazjum w podpłockich Proboszczewicach i grupowa ucieczka z lekcji kończyła się z reguły w moim rodzinnym domu – rodzice do 15:00 byli w pracy, a ja z kolegami rozgrywałem emocjonujące

turnieje w gry komputerowe – najczęściej Fifę lub Heros 3. Dużo ciekawsze były ucieczki na poziomie liceum. Chodziłem do Małachowianki, której lokalizacja wręcz zachęcała żeby czasami na lekcję nie dotrzeć – szczególnie w letnie, ciepłe dni, kiedy nie trzeba już było walczyć o oceny. Szczegóły pozostawię jednak dla siebie – odpowiada bez namysłu.

Skoro doszedł w swojej wypowiedzi do Tumskiego Wzgórza – ulubionego miejsca spacerów zakochanych. Nie mogę się powstrzymać, aby nie zapytać o pierwszą miłość Michała. – Nie muszę wspominać, bo jest nią... moja żona – śmieje się głośno. – Poznaliśmy się na zajęciach “klasy zerowej” w Małachowiance. Nieprzypadkowo wybrałem ławkę tuż za tą, w której siedziała ta urocza Czarnulka. Podczas zajęć zaczęła pisać na kartce swoje imię artystyczną czcionką. Niewiele myśląc – zapytałem: “To dla mnie?”, a po usłyszeniu odpowiedzi: “Może być dla Ciebie”, poprosiłem o dopisanie... numeru telefonu. Dalej sytuacja rozwijała się bardzo dynamicznie – jak w każdym związku – były wzloty i upadki. Ale już od blisko 4 lat jesteśmy małżeństwem, a od 15 miesięcy rodzicami małego Nikosia – opowiada historię swojej miłości.

Kibicowski szlak z marszałkiem w tle

Wiadomym jest, że Michał Sosnowski to zapalony kibic i fan piłki nożnej czy jego pierwszym idolem był jakiś sportowiec? – Hmm – zastanawia się. – Trudne pytanie – stwierdza po chwili namysłu. – Raczej nie miałem nigdy żadnego idola, na którym mógłbym wzorować się w każdej dziedzinie życia. Wiadomo – jako młody chłopak z podziwem patrzyłem na wszystkich sportowców światowej klasy, szczególnie na piłkarzy. Kiedy zaczynałem swoją działalność na stadionie, imponowali mi starsi koledzy z dużym doświadczeniem na kibicowskim szlaku.

– Obecnie “idolami” są dla mnie wszystkie matki i ojcowie, którzy robią wszystko co w ich mocy, żeby dać szczęście swoim dzieciom i wychować ich na dobrych ludzi, bo wiem ile wysiłku to kosztuje – mówi z nutką rozrzewnienia w głosie. – W

działalności samorządowej idolem jest dla mnie marszałek Adam Struzik – od jakiegoś czasu mam okazję obserwować ile pracy i zaangażowania wkłada w to, żeby nasze województwo się rozwijało. Jego telefon nigdy nie milknie i w zasadzie ciągle jest w terenie, wśród ludzi – tłumaczy. – Nic dziwnego, że w każdych wyborach otrzymuje rekordową ilość głosów i od 16 lat pełni funkcję marszałka województwa – dodaje.

A czy Michał pamięta pierwszy mecz, na którym był, komu kibicował...? – Pierwszy mecz ogólnie to końcówka lat '90 i mecz z Legią Warszawa u siebie. Wygraliśmy bodajże 3:1 – odpowiada bez zająknięcia. – A pytanie o to komu kibicowałem uznam za retoryczne – śmieje się. – Ale opowiem ci o pierwszym "świadomy" meczu w tzw. "młynie". To był finał Pucharu Polski z Wisłą Kraków u siebie – niestety przegrany przez Nafciarzy. Tak zaczęła się największa pasja mojego życia, którą pielęgnuję do dzisiaj – oczy mojego rozmówcy nabierają takiego blasku, że aż miło popatrzeć. – Pierwszy mój wyjazd miał miejsce w 2005 roku. Mając 16 lat pojechałem na Polonię Warszawa. Co ciekawe – drugim moim wyjazdem była eskapada za Wisłą do... Zurichu na mecz Pucharu UEFA. Do dziś na "liczniku" mam 149 wyjazdów, więc ekstraklasowy mecz w Gliwicach z Piastem będzie dla mnie małym jubileuszem – 150 meczem wyjazdowym – niewielu płockich fanów przekroczyło taką liczbę – stwierdza były prezes Stowarzyszenia Sympatyków Klubu Wisły Płock.

Zielona strzałka w kierunku marzeń

Teraz trochę o pierwszych politycznych krokach Michała Sosnowskiego, który od niedawna zasiada w Radzie Miasta Płocka. Czego dotyczyło jego pierwsze wystąpienie przy mównicy? – Pierwsze wystąpienie dotyczyło budowy boiska trawiastego przy gimnazjum nr.5. Czułem tremę, nie bardzo jeszcze wiedziałem jakie są procedury, zwyczaje i jak skutecznie zadziałać w tym temacie – być może dlatego do dziś tego boiska nie ma...- wyraźnie smutnieje. – Będzie to jednak mój priorytetowy cel, jeśli chodzi o projekt budżetu na rok

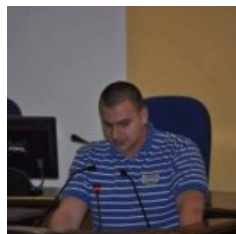
2017. Teraz, gdy miasto zdecydowało o likwidacji boiska przy ul. Hermana, ma w tym miejscu powstać parking i skwer rekreacyjny, problem braku boiska trawiastego na tzw. "Wielkiej Płycie" jest bardzo istotny. Rozmawiam często z młodymi ludźmi z tego osiedla i mówią wprost – boisko to priorytet! – podkreśla.

– A moja pierwsza interpelacja dotyczyła – myśli chwilę bohater rozmowy. – W zasadzie złożyłem dwie na raz. Pierwsza dotyczyła zamontowania tzw. "zielonej strzałki" na skrzyżowaniu ulicy Długiej z ulicą Łukasiewicza, a druga odmalowania ścian na oddziale dziecięcym w Szpitalu Św. Trójcy. "Zielona strzałka" jest do dzisiaj, a ściany zostały odmalowane. Łącznie złożyłem już 61 interpelacji – zdecydowana większość z nich była pisana w związku z interwencjami mieszkańców.

Michał, a marzenie – takie, które zadziałałoby się w Twoim życiu...pierwszy raz? – pytam mojego rozmówcę – Mogę kilka? – zadaje mi pytanie z uśmiechem na ustach. – Zdobyć przez Wisłę Płock Mistrzostwa Polski w piłce nożnej; przecięcie wstęg na: nowoczesnym stadionie przy Łukasiewicza 34, nowej hali przy SP.17 i boisku przy Gimnazjum nr.5 i żebym kiedyś usłyszał od wszystkich małych klubów sportowych w naszym mieście – nie musicie już dokładać pieniędzy – na wszystko nam wystarczy – wymienia jednym tchem. – A prywatnie... Mam syna, może czas na córkę? – patrzy na mnie rozbawionym wzrokiem, zadając mi pytanie.

– Na pewno Nikoś cieszyłby się z siostry, a jeszcze bardziej dumni rodzice – odpowiadam i śmiejemy się obydwój. Bardzo serdecznie dziękuję Michałowi Sosnowskiemu za rozmowę i oczywiście życzę spełnienia wszystkich marzeń, tych zawodowych, tych politycznych, a najbardziej tych...prywatnych, bo to dzięki spełnianiu tych marzeń, ma się skrzydła u ramion...

Fot. Archiwum prywatne Michała Sosnowskiego.



Mój pierwszy raz. Wojciech Hetkowski: Czułem się mocno zakłopotany [FOTO]

Kiedy był po raz pierwszy w Warszawie, zgadnijcie co małego Wojtka zachwyciło najbardziej? Pałac Kultury, ogród zoologiczny, a może zupełnie coś innego? Na pewno się tego nie spodziewacie. Chociaż...? No ale nie będę uprzedzała faktów.

Wojciecha Hetkowskiego za bardzo przedstawiać nie trzeba. Właściwie od zawsze związany jest z życiem społecznym i politycznym naszego miasta. Był wiceprezydentem, prezydentem, przewodniczącym Rady Miasta Płocka, a obecnie jest radnym miejskim z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Bardzo lubię jego merytoryczne i rzeczowe wypowiedzi. Nie "mydli oczu" słodkimi słówkami, nazywa rzeczy po imieniu i niezwykle za to pana Wojtka cenię.

Prawie ksiądz z... prezydentem

Tradycją jest, że zawsze z moimi rozmówcami wspominamy dzieciństwo. Nie mogło być inaczej w tym przypadku. Jak swój

pierwszy dzień w szkolnej ławce zapamiętał radny miasta? – Ten dzień akurat szczególnie utkwił mi w pamięci, bo to przecież jeden z pierwszych kroków w dorosłość – mówi konkretnie. – Do „szóstki” zaprowadziła mnie mama. Wszyscy to przeżywaliśmy. Nie znałem nikogo i byłem zestresowany jak nie wiem co – uśmiecha się na samo wspomnienie dawnych lat. Jak się okazuje pan Wojtek w jednej ławce siedział z podobnym do siebie też...Wojtkiem. – To był Wojtek Nowakowski – wyjaśnia mi.

Przez wiele lat Wojtek ze szkolnej ławki był najbliższym kolegą prezydenta. Pierwszy Wojtek potem poszedł do Seminarium, ale przed ostatnimi święceniami...rozmyślił się. – Pamiętam też bardzo dokładnie „dramat” kolegi Jacka, którego też przyprowadziła mama. Strasznie płakał i bał się zostać bez swojej opiekunki. I tak było jeszcze przez kilka dni. Jak się oswoił, wyszedł z niego taki mały samiec alfa. Stając się obiektem westchnień naszych małych koleżanek i trochę takim przywódcą – śmieje się mój rozmówca, wspominając kolegów.

Jeżeli ktoś z Czytelników pamięta lata 60. ubiegłego wieku, na pewno szkoła kojarzy się ze szkolnymi wycieczkami. A jeżeli ktoś nie pamięta, to przypomnę. Wycieczki odbywały się praktycznie w każdej szkole i to przynajmniej dwa razy w roku. Takim „sztandarowym” wyjazdem organizowanym przez Komitet Rodzicielski czy dyrekcję szkoły był jednodniowy pobyt w Warszawie. Jakże nie myłę się w swoich przypuszczeniach, że pan Wojtek też odbył taką wycieczkę.

– Zwykle pierwsza, najbardziej wspominana wycieczka to była obowiązkowa wyprawa do stolicy – śmieje się głośno. – Pokazywali nam jakieś zabytki, Stare Miasto, ZOO... Myślę jednak, że największym przeżyciem była jazda schodami ruchomymi przy Trasie W-Z. Nie mogliśmy się dać stamtąd odciągnąć, jeżdżąc bez końca góra-dół, dół-góra – wspomina, nie ukrywając rozbawiania. – Ciekawe czy dzisiaj dla współczesnych pierwszoklasistów jest coś aż tak bardzo

fascynującego? – zastanawia się.

– Pamiętam też wycieczkę nad morze i mrożący dla mnie rejs z Gdyni na Hel. Oddawałem wtedy pod czujną opieką mojej wychowawczynie “hołd Neptunowi”. I to był kolejny “mój pierwszy raz”, bo...pierwszy raz czułem się mocno zakłopotany słabością mężczyzny, w dodatku na oczach kobiety. Kolejny “pierwszy raz”, który zdarzył się mi na wycieczce to trochę szybsze bicie serca kiedy w świętokrzyskich okolicznościach przyrody odkryłem, że nasze szkolne koleżanki są bardzo fajne – ucina z tajemniczym uśmiechem na ustach.

Z torów kolejowych wprost na... most

Wspomnienia szkoły, dzieciństwa, lat beztroski są czymś o czym można by mówić godzinami. Ale czas w naszym wywiadzie na dorosłość i pierwszą pracę. – To były tzw. praktyki robotnicze przed pierwszym rokiem studiów – odpowiada radny bez zastanowienia. – Pracowaliśmy na kolei w Ciechanowie w wielkim zgrupowaniu pierwszoroczników. Podbijaliśmy podkłady kolejowe w kurzu i upale – wspomina. – Nigdy nie zapomnę, jak przechodząca obok nas, chyba babcia z małym wnukiem, powiedziała do niego: “Pamiętaj! Jak nie będziesz się uczył to będzie tak pracował jak ci panowie”. Tak dziwnie tkwi mi to w pamięci – zamyśla się na chwilę.

Wojciech Hetkowski zawodowo jednak wystartował w filii FSO – POLMO na naszym Radziwiu. Znał trochę angielski i na prośbę pracującego już tam kolegi pomógł, w trakcie pisania pracy dyplomowej, w obsłudze angielskiego specjalisty wykonującemu w firmie naprawę gwarancyjną. – Chociaż moją ambicją była kariera projektanta w Petrochemii, zostałem jednak w POLMO – opowiada pan Wojtek. – Była to interesująca praca, bo płocka filia FSO była wtedy na etapie dużej inwestycji, realizowanej w oparciu o włoskie technologie i urządzenia. Dawała spore możliwości poznawcze, z wyjazdami na Zachód włącznie. W dodatku proponowała konkurencyjne warunki płacowe. Wiele tam się nauczyłem, a kontakt z trochę

innym światem niż siermiężna codzienność ówczesnej Polski była dodatkową atrakcją.

No i tak sobie rozmawiamy, o tym, o tamtym, a jaką pierwszą decyzję podjął Wojciech Hetkowski jak został prezydentem miasta Płocka? – Było to powołanie zespołu dla realizacji zapoczątkowanej przez poprzedników budowy drugiego mostu – zamyśla się na chwilę. – Wiedziałem, patrząc codziennie na zatłoczony Płock, a pewnie niewielu z nas już pamięta skalę tego kłopotu, że trzeba zwiększyć tempo, nabrać więcej odwagi i szybko podjąć kluczową decyzję o przygotowaniu modelu finansowania i ogłoszeniu przetargu nie tylko w wymiarze piarowskim – tłumaczy.

– Zmieniłem także obsadę kilku ważnych stanowisk w Ratuszu, sięgając po ludzi spoza obozu politycznego ze mną związanego. Nie dlatego, żeby pokazać moją otwartość, ale ze zwykłego wyrachowania – przyznaje. – Chciałem pracować z najlepszymi – podkreśla.

Wilk do lasu z czapką... orzechów

Znam trochę przeszłość polityczną pana Wojtka. Pamiętam go jako prezydenta, jednak bardziej mi utkwił w głowie jako przewodniczący Rady Miasta Płocka, a potem radny. Stąd moje następne pytanie. Czy mój rozmówca pamięta swoje pierwsze wystąpienie przed Radą Miasta Płocka, jako radny? – Tego też nigdy nie zapomnę – uśmiecha się na samo wspomnienie. – Spotkało mnie wtedy coś niezwykłego i zupełnie nieoczekiwanego. Powróciłem do działalności samorządowej po kilkuletniej przerwie, kiedy zajmowałem się dosyć udanie biznesem. Natura ciągnie wilka do lasu, zatem namowy znajomych żeby powrócić do pracy na rzecz miasta trafiły na podatny grunt – opowiada.

Powrót pana Wojtka był udany i można by rzec, w wielkim stylu. Zdawać by się mogło, że płocczanie trochę już zapomnieli o Wojciechu Hetkowskim, to jednak po powrocie do

polityki otrzymał w wyborach świetny wynik. – Zaproponowano mi przewodniczenie Radzie Miasta. Było to dla mnie wielkie wyróżnienie, a konsekwencją było to, że pierwsze wystąpienie to było podziękowanie za zaszczytny wybór. Dlatego tak bardzo to pamiętam.

Nie odbiegając od tematu radnego. A o czym stanowiła pierwsza interpelacja, wniesiona przez pana Wojtkę? – W swojej karierze samorządowca zgłosiłem bardzo wiele interpelacji, dlatego trochę tu pewnie rozczaruję... – żartuje. – Podejrzewam, że dotyczyła ona problemów komunikacyjnych miasta i mocno zaniedbaną infrastrukturę drogową. Czapka śliwek przeciwko orzechom, że mogło to dotyczyć budowy drugiego pasa ulicy Wyszogrodzkiej – od skrzyżowania z ulicą Piłsudskiego do salonu VW. Było to ważne dla wschodniej części Płocka. Dziś wydaje mi się, że ta ulica w obecnym kształcie była tam od zawsze – uśmiecha się.

Mówmy o marzeniach...szeptem

Lubię pytać moich rozmówców o marzenia, te których nie mieli okazji przeżyć, a byłby to ich... pierwszy raz. Odpowiedzi wielokrotnie są bardzo zaskakujące. W dzisiejszej rozmowie też nie mogłam się oprzeć temu pytaniu. – Odpowiem trochę żartobliwie – mój rozmówca po prostu “odpłynął” i rozmarzonym wzrokiem patrzy w przestrzeń. – Hmm... Chciałbym na powitanie Nowego 2051 roku w gronie obecnych i przyszłych przyjaciół, wznieść sylwestrowy toast kieliszkiem Dom Perignon. Byłby to “pierwszy raz”, ponieważ do tej pory jeszcze tej marki szampana nie degustowałem.

Zaś na poważnie... raczej mam wiele marzeń. Są one jednak w swojej istocie tak ulotne, że mówienie o nich nawet szeptem, może je bezpowrotnie spłoszyć. Mam ich jeszcze dużo... Obiecuję, że jak się będą spełniać, w kolejnym odcinku tego cyklu będę się nimi głośno chwalić, a że nigdy nie są one i nigdy nie były czyimś kosztem, chwalić się będę nimi tym

radośniej. Mam nadzieję, że będę jeszcze miał takie okazje nie raz... – kończy swoją wypowiedź łagodnym głosem.

Uśmiechamy się obydwójce w kompletnej ciszy, która zapadła. Jesteśmy gadułami, a to ostatnie zdanie mojego rozmówcy wprowadziło nas w stan zamyślenia i refleksji. No cóż, pozostaje mi życzyć panu Wojtkowi imprezy urodzinowej w 2051 roku z prawdziwymi przyjaciółmi u boku i kieliszkiem Dom Perignon w dłoni ☐

Fot. Archiwum prywatne Wojciecha Hetkowskiego.





Mój pierwszy raz. Radosław Malinowski: Nie było zadaszienia, a dookoła krzaki [FOTO]

Jakie marzenie ma bohater mojej dzisiejszej rozmowy? Jest to podróż do niepoznanych dotąd krajów, a może koncert live jakiejś wybitnej gwiazdy, a może...? No właśnie, jakie marzenie ma dyrektor POKiS-u?

Poznałam Radosława Malinowskiego, kiedy już pracował w Płockim Ośrodku Kultury i Sztuki. Zawsze elegancki – wszystkie elementy jego ubioru dobrane z idealnym wyczuciem gustu i smaku. Za każdym razem kiedy się spotykamy, nawet w biegu – a często się to zdarza, znajduje czas aby zatrzymać się na chwilę, zamienić parę zdań – co słyhać, jak zdrowie? W dzisiejszych czasach bardzo trudno spotkać takich ludzi. Każdy gdzieś gna, pędzi, biegnie za czymś co pozornie nazywa “życiem”.

Bolidem na węgry

Tradycyjnie już zaczynam rozmowę od dzieciństwa, bo to przecież ten okres w życiu wspomina się najczęściej. Bez względu na to czy było ono złe czy dobre, każdy ma w pamięci ten etap życia. Jakie wspomnienie z tego czasu najbardziej utkwilo w pamięci Radosława Malinowskiego? Mój rozmówca zamyśla się na chwilę. – Jest taki film Stanleya Kubricka z 1980 roku, kinowa adaptacja „Lśnienia” Stephen Kinga – zaciekawia mnie początkiem opowieści. – Jednym z bohaterów filmu jest mały chłopiec, który ciągle jeździ na trójkołowym rowerku. Co prawda nie miałem nigdy zdolności parapsychicznych, a moje dzieciństwo to raczej sielanka, a nie horror – uśmiecha się. – Najmłodsze lata spędziłem właśnie w siodełku takiego bolidu. Przejechałem na nim chyba tysiąc kilometrów, przemierzając wszystkie zakamarki sześćdziesięciometrowego mieszkania – przenosi mnie w czasie do czasów małego Radka.

A czy dyrektor chodził kiedyś na wagary? I czy pamięta te pierwsze? – Na wagary zacząłem chodzić dopiero w liceum. Latem potrafiliśmy z kolegami „urwać się” na godzinę lub dwie i większość tego czasu spędzaliśmy na Tumskim Wzgórzu, w amfiteatrze lub nad Wisłą. Pamiętam, że aby zejść nad Wisłę nie używaliśmy schodów jak cywilizowani ludzie, tylko zbiegaliśmy bezpośrednio ze skarpy po linii prostej na sam dół. Osobiście nie polecam, ale wagary wspominać bardzo miło, na nich miałem sporo swoich „pierwszych razów” – śmieje się.

Od papieża do amfiteatru

Jeżeli ktoś jeszcze nie poznał Radka, to koniecznie musi wiedzieć, że to jest taki dobry duch wszystkich imprez kulturalnych, które odbywają się w naszym mieście. Widać gołym okiem, że to lubi i poświęca się temu co robi. Domniemywam zatem, że jako dziecko czy młodzieniec miał idola związanego z muzyką, jak bardzo się myślę... – W dzieciństwie zawsze mówiłem, że chciałbym zostać papieżem. Do dzisiaj moja mama śmieje się z tego, rozmawiając z moją córką Amelką o tym co chciałyby robić w przyszłości. Opowiada jej, jaki tata był w

dzieciństwie ambitny i że mierzył wysoko. Z tych planów nic nie wyszło ale też jest fajnie – wyraźnie się ożywia, bo widzi jak bardzo jestem zaskoczona odpowiedzią. – Ale jako nastolatek słuchałem „ciężkich” dźwięków: Metallica, Pantera, Sepultura, Depeche Mode. Nirvana, Rage Against the Machine itp. Artyści z tych zespołów byli wtedy moimi idolami. Wyciągnięty czarny sweter, rurki, glany, każdy włos w inną stronę – taki był wtedy „fame” – dodaje, puszczając tzw. „oczko”.

Skoro już doszliśmy do muzyki i idoli. Jaki był pierwszy koncert, który Radosław Malinowski zapamiętał? – O ironio! – słyszę wyraźne rozbawianie w głosie bohatera wywiadu. – Moje pierwsze zapamiętane koncerty związane są z płockim amfiteatrem. Wtedy nie było tam zadaszenia. Stare, częściowo połamane deski zamiast siedzeń, dookoła krzaki. Betonowa mała scena i półokrągła biała ściana, która była horyzontem. Chodziłem tam z rodzicami jako małe dziecko – wspomina. – Występy zespołów folklorystycznych robiły na mnie zawsze duże wrażenie. Zastanawiałem się jak oni to robią, że to wszystko ze sobą tak dobrze wygląda. Bez nagłośnienia, w trzydziestostopniowym upale. Siedząc tam przez dwie godziny w krótkich spodenkach, nogi zawsze miałem opalone do połowy. To było zawsze prawdziwe święto, zwłaszcza, że potem były lody i oranżada w foliowej torebce albo z saturatora – znowu swoją opowieścią przenosi mnie w czasie.

Przez księżyc do marzeń

Znam trochę przeszłość zawodową dyrektora, nie mogę zatem nie zadać pytania związanego z pierwszym wywiadem, którego udzielił? – Pierwszego profesjonalnego wywiadu udzieliłem akurat dla Telewizji Polskiej gdy pracowałem w biurze prasowym wojewody mazowieckiego – odpowiada bez zastanowienia. – Pamiętam, wtedy dotyczyło to chyba blankietów mandatowych dla policji. Byłem strasznie zestresowany ale przygotowany. Przyjechała ekipa na setkę i pojechała. A ja czekałem z wypiekami na twarzy do emisji Kuriera Telewizyjnego, gdzie

miał ukazać się ten wywiad. No i ukazał się. Zdziwiony byłem nie tym co mówiłem ale jak wyglądałem – śmieje się głośno. – Wtedy zrozumiałem co to znaczy, że telewizja pogrubia. Nie miałem nadwagi, a moja twarz wyglądała jak księżyc w pełni, ledwo siebie poznałem.

POKiS to kolejny etap w życiu mojego rozmówcy. Jak wyglądał pierwszy dzień w nowej pracy? – Kiedy przyszedłem pierwszy dzień do pracy w Płockim Ośrodku Kultury i Sztuki, pomyślałem sobie, że to jest ten dzień gdy biorę na siebie ogromną odpowiedzialność, i że nie ma już żartów. Poznałem wtedy ludzi, którzy mimo swojej bardzo dużej indywidualności stanowią jeden organizm. To mi się spodobało, bo dostrzegłem możliwości, których do tej pory nie zauważałem. Miałem ten komfort, że pełniącym obowiązki dyrektora był w tamtym czasie Radek Łabarzewski, z którym znałem się z mojej wcześniejszej pracy w Teatrze Dramatycznym. Jego roztropne podejście do mnie, jako do swojego nowego zastępcy, bardzo mi pomogło. Pomyślałem również, że czeka mnie tu bardzo ważny okres w moim życiu... i się nie pomyliłem – stwierdza jednoznacznie.

Czas kończyć naszą rozmowę, ale żeby nie było jedynie wspomnień, pytam o przyszłość i marzenie – takie jedno, którego jeszcze nie przeżył Radek Malinowski, a byłoby jego pierwszym? – Mam wiele marzeń tych większych i mniejszych i staram się je sukcesywnie realizować jeżeli tylko nadarzy się okazja – odpowiada konkretnie. – Jednak moim największym marzeniem jest aby moja córka była zdrowa, żyła długo i szczęśliwie. Aby przeżyła życie nie żałując ani jednego dnia – wzrusza mnie swoją odpowiedzią.

Oczywiście życzę Radosławowi Malinowskiemu aby jego marzenie się Spełniło – celowo używam dużej litery. Dziękuję za wywiad i czas, który mój rozmówca mi poświęcił w poniedziałkowe, pełne obowiązków przedpołudnie.

Fot. Archiwum prywatne Radosława Malinowskiego.



Radosław
Malinowski z
córką Amelką



Radosław
Malinowski



A tu z płockim
lwem



Tak wyglądał w
wieku 7 lat



Radek jako 8
latek



Jako dziecko w
"samochodzie"

Mój pierwszy raz. Wojtek Bógdał: Trzymam cię kolanami [FOTO]

Jest bardzo młody, a na jego kartach życia już widnieje napis... Mistrz Świata. Oczywiście to nie jedyny tytuł, który zdobył, jednak ten uważa za swój największy sukces. Kiedy na gali Tygodnika Płockiego, wyczytano jego imię i nazwisko, jako nominowanego do nagrody głównej w kategorii „Sport”, siedząca

koło mnie Jola Marciniak, dziennikarka sportowa "TP", powiedziała – Widzisz, Wojtuś taki młodziutki, a tyle ma już na swoim koncie, po prostu tylko podziwiać.

Wojciech Bógdał jest absolwentem płockiej Jagiellonki. W tej chwili studiuje na Politechnice Warszawskiej. Z ważniejszych nagród, które zdobył w swojej dyscyplinie to złoty medal na I Ślalomowych Motoparalotniowych Mistrzostwach Europy w Couhé we Francji oraz tytuł indywidualnego Mistrza Świata w rozgrywanych w Legnicy II Motoparalotniowych Ślalomowych Mistrzostwach Świata, w klasie wózków jednoosobowych.

Pod dyktando... jasnowidza

Korzystając z okazji naszego spotkania w piątkowy wieczór w Domu Technika, postanowiłam ze sportowcem porozmawiać o jego pierwszych..."razach". Wojtek jest bardzo skromny i niezwykle grzeczny, wydaje się, że aż za grzeczny jak na tak młodego człowieka. Zapytałam go zatem czy pamięta pierwszą rzecz, którą zrobił wbrew woli rodziców?

– Wolałbym na to pytanie nie odpowiadać – śmiał się – lepiej żeby się o tym nie dowiedzieli – skończył zdanie z tajemniczym uśmiechem na ustach i błyskiem w oku. Nie drażyłam zatem tematu, żeby nie wprowadzać mojego rozmówcy w zakłopotanie. W takim razie zapytałam z kompletnie innej beczki: Jak zarobiłeś swoje pierwsze pieniądze?

– Zabawna sytuacja. Moje pierwsze pieniądze zarobiłem... latając. Wziąłem udział w poszukiwaniach skradzionej koparki. Latałem w kilku miejscach i rozglądałem się, czy nie stoi gdzieś na podwórku lub w krzakach. Najlepsze było to, że właściciel koparki poprosił o pomoc wróżbitę. Zadawał pytania magowi przez telefon i przekazywał mi przez radio. "a gdzie to jest? Po prawej czy po lewej stronie ulicy? W lesie? Czy na podwórku! Wróżbita mu tłumaczył, a ja leciałem gdzie wskazali – głośno śmiał się bohater rozmowy. – Oczywiście znalazłem kilka koparek, ale nie tą, której szukaliśmy. Rozumiem też

postawę właściciela, który wyszedł z założenia, że jeśli ma się szukać zupełnie po omacku, to lepiej skontaktować się z jasnowidzem, a może pomoże... Taka sytuacja... – Wojtek uśmiechał się z niedowierzaniem, że miało to miejsce.

Lot pełen grozy z...Tuwimem

Skoro już o lataniu mowa. Poprosiłam aby Mistrz Świata dokończył zdanie: Mój pierwszy lot motoparalotnią był...- Wstrząsający – odpowiedział bez zastanowienia. – Tata ruszył w Polskę kupić skrzydło tandemowe, a wrócił z całym zestawem, wlokąc na haku ogromny wózek motoparalotniowy, aaaa kupił bo to okazja była... cenowa. Silnik znakomity, natomiast wózek przypominał wychodek za stodołą, na dodatek ciężki jak kowadło, zespawany z czarnej stali. Tata dokonał oblotu, wszystko było ok. Widział mój głodny wzrok. “Lecimy?” zapytał. Oczywiście!

Kiedy zaczęliśmy kołować okazało się, że moja masa to już troszkę za dużo dla tego zestawu. Oderwaliśmy się na samym końcu łąki, tuż przed rowem melioracyjnym, a później zaczęliśmy się z mozołem wznosić, oj ledwo, ledwo, a przed nami drzewa... w całym tym łomocie silnika i śmigła docierały do mnie jakieś brzydkie słowa taty. Ale jakoś wyrzeźbił między gałęziami. Później było już pięknie... Jak u Tuwima – opowiedział obrazowo o locie i tacie, Darku Bógdale, który jak wiemy, że oprócz latania jego pasją jest także fotografia z nieba. Czy syn również fotografuje i czy był taki pierwszy lot fotograficzny?

– Pojechaliśmy z tatą na ujście Wisły fotografować foki. Tata skonstruował wózek dla operatora... bez ram, żeby nic w kadr nie “wchodziło”. Siedziałem z przodu z aparatem w miękkiej uprzęży na wąskim siedzeniu, które kiwało się na boki. Kiedy wziąłem aparat do obu rąk, aby utrzymać równowagę, musiałem zapleść nogi pod siedzeniem. To tak jakbym siedział na gałęzi, nie mogąc się niczego złapać. Krzyczałem do taty, że się boje! A on “nie marudź! rób zdjęcia! trzymam Cię kolanami!” – śmiał

się wspominając fotograficzną przygodę. – Teraz Pani rozumie, dlaczego odnoszę sukcesy w tej dyscyplinie sportu. Po takiej szkole niektóre konkurencje na zawodach, to bułka z masłem – dodawał z uśmiechem.

Kółka od taczek z...Irakiem w tle

A właśnie, a pierwsze zdobyte „trofeum” w Twojej dziedzinie sportowej. Jak wspominasz ten moment? – Na moje pierwsze zawody pojechaliśmy do Pizy. Byliśmy tam nowi, bo tata nigdy nie brał udziału w zawodach, ponieważ każdą lotną godzinę wykorzystywał na latanie komercyjne. Pamiętali go tylko najstarsi kadrowicze.

Zawodnicy z uśmiechem politowania patrzyli na mój wózek, który był dość ciężki, ale bezpieczny, na kółkach od taczek ze wzmocnionymi oponami. Taki sprzęt był konieczny do latania zarobkowego, bo czasami trzeba startować z miejsc, z których normalnie startować się nie powinno. Właściciele „wypasionych” wózków na kołach od BMXów, troszkę się podśmiewali z mojego sprzętu, robiąc sobie przy nim zdjęcia. Tak było do wieczora, do momentu ogłoszenia wyników, kiedy okazało się, że wygrałem pokonując trzech zawodników kadry narodowej – opowiedział z dumą w głosie.

Wiem, że mój rozmówca często wyjeżdża poza granice kraju. Jak wspomina swój pierwszy zagraniczny wyjazd? – To był Irak. Wspaniała przygoda, trochę z dreszczykiem emocji, bo poruszaliśmy się po kraju w asyście antyterrorystów, ale latając nad All Hillach, miastem porównywalnym do naszego Trójmiasta nic nas nie chroniło przed przypadkową kulą... a wiadomo, że broń jest tam dostępna.

Byliśmy tam w kwietniu, a w czerwcu zaczęła się wojna z ISIS. Jednak loty nad kolebką cywilizacji Babilonem, rzeką Tygrys, wiszącymi ogrodami Semiramidy, to przygoda o jakiej nie zapomnę do końca życia. Doświadczyliśmy dużo dobrego od Irakijczyków. Oczywiście inna kultura, byli nami bardzo

zaciekawieni, ale też bardzo otwarci. Mimo pewnych zagrożeń, ciekawe doświadczenie, choć wracając do Polski mieliśmy tę radość, że wracamy do naszego pięknego kraju, pełnego zieleni i pokoju. Irakijczycy tego powiedzieć nie mogli.. smutne – podsumował Wojtek swoją opowieść.

Czy masz jakieś marzenie, które przeżyłbyś pierwszy raz? Uśmiech pojawił się na twarzy młodziutkiego sportowca. Chwilę się zastanowił. – Moim marzeniem jest żyć z latania. Bo ten kto robi to co lubi, nigdy nie pracuje...- wprowadził mnie w osłupienie swoją mądrą i dojrzałą odpowiedzią.

Fot. Archiwum prywatne Wojtka Bógdała.



